

Testament Alego



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

Testament Alego

— Nie mój Hikmecie, nie pocieszaj, bo mnie tem tylko smucisz. Chciałbym, żeby życie moje zgasło z dzisiejszym słońcem. Jak skąpiec pieniądze, z taką chciwością ja odliczałem mijające dni, ciesząc się każdym, który mnie do grobu przybliżał. Już niedaleko... wreszcie niedaleko!

— Ukryj się, bo chłód przez okno zawiewa.

— Zdrowia mi nie przyniesie, więc go się nie lękam. Ale ty ciągle mnie nie rozumiesz i przypuszczasz że kłamię. Tymczasem... gdybym mógł w jednym kaszlnięciu wyrzucić resztkę płuc z piersi i skonać, zrzekłbym się nawet twego pożegnalnego uścisku. Hikmecie, Hikmecie, bodajbyś z taką rozkoszą wychylał puhan życia, z jaką ja go roztrącam! Jeżeli serce mi jeszcze bije, to tylko dlatego, że drga nadzieją szybkiego ustania. Wpatrz się dobrze w twarz moją, gdy umrę, a zobaczysz na niej szczerą uśmiech.

Zmęczony wysiłkiem Ali opadł na poduszki i utkwiał gorejący wzrok w portret jakiegoś chłopczyka, zawieszony na przeciwległej ścianie. Jego blada, wychudła twarz, oblana światłem zachodzącego słońca, przybrała trupią, żółtawą barwę, którą łagodziły zaledwie siwe, w nieładzie rozrzucone włosy i długa roztrzepana broda.

Hikmet ukrył twarz w dłoniach i milczał.

— Gdyby wszyscy — szeptał Ali do siebie — zasnęli w płonącym domu, a jam tylko jeden stał zewnątrz niego, rzuciłbym się w ogień dla wyratowania... obrazu... żony... dzieci... Mehmeda... Vefika... razem może trzydzieści... niewiele miałbym trudu.

Po chwili niemoego marzenia, podniósł się znowu i usiadł na łóżku.

— Gdybym mógł uwierzyć, że ty, Hikmecie, nie jesteś moim przyjacielem, byłbym ci bardzo wdzięcznym.

— Dlaczego?

— Bo chcę ze świata zejść zupełnie wesołym. Ty zaś, pocziwy Mehmed, zacny Vefik i kilkunastu innych przeszkadzacie mi, psujecie humor. Teraz wolałbym zapomnieć, że znałem ludzi, którzy nie byli: złodziejami, chciwcami, wiarołomcami, którzy nie ulaskawiali lotrów i nie krzyżowali uczciwych, którzy nie dawali cnoty ślubu z występkiem. Potworny świat: dla znalezienia cnoty więcej trzeba przerzucić spodlonych cielsk, niż rozbić skał dla wyszukania dyamentu. Kto mówi prawdę — ostrzega nasze przysłowie — tego z dziesięciu wsi wyganiają. Wyganiano mnie z tysiąca, ale z grobu nie wypędzą. Sam zostanę, a nawet gdy koło mojej mogiły przechodzić będzie niegodziwiec ucieknie przestraszony, bo usłyszy dobywający się z niej głos wzgardy. I cóż ja...

Zakrztusił się gwałtownie, krew z ust chustką obtarł i legł bezwładny. Ale znowu usiadł i rzekł, śmiejąc się gorzko.

— No, zawiniłem względem ludzi: zamiast podawać miednicę do obmycia brudu, ja im nadstawałem zwierciadło do przejrzenia się. Błędnie religii, bo Allah wydawał mi się lichym konceptem, a jego prorok pijanym marzycielem, bo drwiłem z głupców, całujących nabożnie grzebienie, którymi święci czesali swe kołtuny; obrażałem władzę, bo nie uznawałem się za proch na stopach nakładacza fajek ministeryalnych. Gdy raz napisałem w gazecie, że urzędnicy zbyt rabują skarb publiczny, jeden z nich, złodziej, który, gdyby mógł, ukradłby tęczę z twego oka, przytoczył mi starą maksymę: „bogactwo padyszacha jest morzem, nie pije z niego tylko świnia”. Pewien kapłan, z którego trudniej było wycisnąć jałmużnę, niż łzę z oczu trupa, i który w poufnej rozmowie dowodził, że derwisz bez pieniędzy nawet w niebie jest durkiem, wyklął mnie jako gorszydziela młodzieży i pozabawił chleba nauczycielskiego. Poeta nasz, który był prawowitym synem swego narodu,

przyznał się, że tylko te dźwięki odurzają go i zachwycają: „cisz, cisz! pieczeni, gluk, gluk! butelki z winem i szuch, szuch! szeleszczącej sukni kobiecej!” Kto ma inne upodobania, kto paląc fajkę wobec wyższego znaczeniem lub majątkiem, puszcza kłęby dymu przed siebie, zamiast kątem ust wysuwać go za siebie — ten u nas grzeszy przeciw religii, moralności, społeczeństwu, jest bezbożnikiem, zbrodniarzem, zdrajcą, wszystkim, czem ja byłem. Ha, ha, ha!...

— Nie mów tak dużo — prosił Hikmet, gdy jego przyjaciel dostał nowego napadu kaszlu. Przecierpiałeś wiele — to prawda, ale dziś stosunki się zmieniły...

— W moim sercu nic się nie zmieniło; ten grot, który je zranił przed dwudziestu laty, tkwi dotąd, a boleści nikt nie złagodził żadnym balsamem. Wlokłem życie, bo go potrzebowała moja rodzina — teraz jestem wolny. Nie odciągaj mnie Hikmecie, już dosyć męczarni... już czas. Mój syn za długo na ojca w grobie czeka. Marzyłem, że w nim wychowam człowieka doskonałego — byłby takim, gdyby mi go śmierć nie wydarła, zanim zdołałem wszystko mu powiedzieć i zanim on zdążył objawić mi swoją wolę. O ile wszakże odgadłem, spełniłem ją.

Nastąpiła chwila długiego milczenia, podczas której suchotnik znowu wpatrywał się w portret z niemym wzburzeniem.

— Napij się słodkiej wody — rzekł Hikmet — język masz spieczony.

Ali drżącą ręką dotknął do ust szklankę i nieco uspokojony, jak gdyby w zachwyceniu, słabym głosem mówić zaczął.

— Kiedy byłem z nim w Aleksandryi, wyszliśmy raz za miasto. Powracając, przechodzimy koło jakiegoś wzgórza, gdy syn mój zatrzymuje mnie nagle i pyta: co to jest, ojcze? Rzeczywiście spostrzegam dziwny obraz. Owo wzgórze było zasypałem rumowiskiem starych budynków, jak wielka gąbka podziurawionem niezliczoną ilością jam, z których wyglądały psie głowy. Słyszałem, że ruiny dawnych miast egipskich służą za schronienie tym biednym, dziko żyjącym stworzeniom, ale nie wyobrażałem sobie takiego roju. Później objaśniono mnie, że ten należał do największych. Każdy pies wygrzebuje sobie tam dwie nory: jedną od wschodu, drugą od zachodu słońca — i zmienia swe legowisko stosownie do tego, gdzie skwar mniej dopieka. Żywią się wyrzuconą przez miasto padliną, o ile im sępy jej nie odbiorą. Gdy żeru zbraknie, zjadają własne szczenięta. Spostrzegłszy nas, psy zawyły chórem przeraźliwie. Jedne wychyliły się do połowy z jam, inne stanęły na boku wzgórza, a jedna suka przybiegła do mego syna i zaczęła się lasić. On wyjął z kieszeni bułkę i rzucił jej. Wtedy wypadła ku nam cała gromada chudych, wynędzniałych, z powyszarpowaną sierścią, z dzikim wejrzeniem, skomląc, szczekając lub wyjąc. Zacząłem cofać się, przerażony obawą napadu głodnych zwierząt. Ale one tylko, wijąc się jak węże i skowycząc przeraźliwie, lizaly ręce mego synka. Czasem tylko zawarczały na siebie, ani jeden na nas. Śród tego hałaśliwego orszaku przysunęliśmy się aż do Aleksandryi. Przed pierwszym domem psy stanęły i zaszczekawszy kilkakrotnie, wróciły do wzgórza. Tylko jedna suka, która właśnie dostała bułkę, szła ciągle w pewnym oddaleniu za nami, nawet przez miasto, mimo gradu kamieni, które na nią ulicznicy rzucali. Dopiero cofnęła się od bram hotelu. W kilka tygodni potem, wyjeżdżając z Aleksandryi, gdy wsiadał do doróżki, słyszę poza sobą skomlenie. Oglądam się i spostrzegam ową sukę, która skacze koło nas i ciągle odbiega do kłabu. Syn mój zaciekawiony wchodzi do ogródka i znajduje czworo nowonarodzonych szczeniątek. Jaka ona była uradowana, jak go lizala! Zawołałem portyera, i zostawiwszy mu kilkanaście franków, prosiłem o żywienie biednej matki. Przyrzekł mi, ale ona rozmowy naszej nie rozumiała, bo gdy siedliśmy do doróżki i odjechali, zawyła rozpaczliwie. Już okręt nasz ruszył, gdy syn mój woła: ojcze — jest. Rzeczywiście nad brzegiem stała ta sama ryża suka, skomląc żałośnie, a chwilami nawet gotując się do skoku w morze. Pomału straciliśmy ją z oczu.

Wzruszony tem opowiadaniem, starzec przerwał i zatopił się we wspomnieniach. Ale znowu zaczął:

— Wypadek ten zwrócił moją uwagę na rozdzierający, przez nikogo ani jednym słowem współczucia nie uczczony dramat śród psów konstantynopolitańskich. Jak wiesz, mnożą się one swobodnie, ale żyją tylko nieczystościami ulic. Razu pewnego rząd, dla rozwiązania tej kwestyi psiej, kazał je wytruć. Rozrzucano po mieście przynęty ze strychnią. Padło wtedy kilka tysięcy ofiar. W dniu tej sromotnej egzekucji spostrzegłem

przez okno młodego psa, taczającego się na ulicy w męczarniach. Biedny za mało zjadł strychniny i nie mógł zdechnąć. Pokazałem go synowi, który, słysząc przed chwilą naszą rozmowę z żoną o środkach przeciw otruciu, porwał butelkę oliwy, wybiegł na dwór i wlał całą w gardło cierpiącemu zwierzęciu. Po kilku godzinach pies przyczołgał się do naszego domu i legł zwinęty. Trzeciego dnia wyzdrowiał i naprzód objawił swą wdzięczność mojemu synowi. Odtąd Kady — tak go nazwałem — do końca życia był naszym serdecznym i nieocenionym przyjacielem.

Kłucia w piersiach przerwały suchotnikowi opowiadanie.

— Innym razem — ciągnął dalej — ja, syn i Kady wyjechaliśmy na morze. Gdy łódka zbliżała się do nagiej skały, która sterczy niedaleko wyspy, usłyszeliśmy jakieś dzikie wycia, a jednocześnie Kady zaczął wietrzyć nosem i objawiać szczególny niepokój. Zauważył to nasz przewoźnik i rzekł z uśmiechem. „Jak on czuje z daleka pole bitwy swych braci. Sułtan (Mahmud) kazał wywieźć na tę skałę kilka tysięcy psów, ażeby się z głodu wzajemnie pożarli. Już się rozdzierają od trzech dni”. Łódź przysunęła się dalej. Wtedy ujrzeliśmy straszny widok. Cały grzbiet skały pokryty był szkieletami i kawałkami skór, a wśród tego wrzała wściekła walka gryzących się psów. Nie mogłem patrzeć — krzyknąłem na przewoźnika, żeby wracał. Syn mój płakał, ściskając Kadego, ja skamieniałem... Podaj mi wodę, Hikmecie...

Ledwie zdołał połknąć napój, chwycił się za piersi i upadł wznak na poduszki. Długa rozmowa, przykre wspomnienia wyczerpały go zupełnie. Zamknął oczy.

— Będziesz spał? — spytał Hikmet po cichu.

Ali potwierdził lekkim poruszeniem głowy.

Słońce już zaszło, mrok rozpostarł się po pokoju, którego ciszę przerywał jedynie częsty oddech chorego. Hikmet nie chcąc go rozbudzić, nie zapalał świecy. Nareszcie, jak gdyby we śnie wyszeptał Ali:

— Idę już... idę... mój najdroższy... Położę się obok ciebie... będziemy znowu... jak zawsze razem. Psy... Ha, ha, ha... doczekałem wreszcie tej chwili... Nikt mnie zabić nie chciał... Śmierć nie zawodzi... pocziwa! Dobrze mi... choć boli... No, kończ... dosyć, dosyć!

Umilkł, ale za chwilę przytomniejszy nieco zawołał:

— Hikmecie!

— Jestem.

— W tym stoliczku — rzekł omdlewającym głosem — jest kartka papieru, na której spisałem mój testament.

Ostatnie słowo rozwiąło się w ciężkim westchnieniu. Hikmet pochylił się nad Alim, ale już nie usłyszał nawet jego oddechu. Szybko zapalił świecę — na łóżku leżał trup.

Szczery smutek rozlał się po twarzy Hikmeta, gdy załzawionym wzrokiem wpatrzył się w martwą, a rzeczywiście uśmiechniętą twarz przyjaciela. Wreszcie potarł czoło, wysunął szufladkę stolika, wyjął kartkę papieru i zaczął czytać:

„Majątek mój, składający się z domu i ogrodu owocowego pozostanie dożywotnią własnością mojej żony. Po jej śmierci spieniężony złożyć w bezpiecznym banku jako wieczysty kapitał, od którego procenty przyjaciel mój Hikmet lub osoba przez niego wybrana zużytkowywać będzie na zakupno żywności dla najbiedniejszych i najuczciwszych — psów konstantynopolitańskich”.

— Oszalał?! — syknął Hikmet, mnąc gniewnie w rękę papier.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/testament-alego/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świętochowski, *Obrazki powieściowe* [Pisma, T. II], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1896].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0840-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.